NR. 4 NIEDZIELA, 1 MARCA 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

WRÓBLE

Ćwirr... ćwir... ćwir... — czy pani kuma jadła już śniadanie?

— Ach, panie Kusy... od samego rana żadnej okruszynki nie mogę znaleźć. Wszędzie śnieg i śnieg. Wczoraj jadłam kolację z miseczki Burka, ale dziś i miseczka śniegiem zasypana.



Tak żaliła się panna wróbliczka, w obcisłej popielatej sukieneczce. Pan Kusy, jako stary wróbel, który z niejednego podwórza już ziarnka zajadał, a nawet w walce z kotem postradał kawałek ogonka, zaczął przemyśliwać nad sposobem zdobycia śniadania.

— Kumciu! Mam dobry pomysł. Widziałem w jednym ogródku pełno krzaków. Może zostało tam jeszcze jakie nasionko. — Ćwir... Ćwir... Ćwir... — zatrzepotały skrzydełka.

Okazało się, że nietylko Kusy był taki mądry. Cała chmara wróbli obsiadła wszystkie krzaki. Prawdziwy wróbli sejm. Znalazło się parę ziarenek, ale więcej było krzyku i pisku, niż jedzenia.

— Czy boicie się Burka? — pyta rozochocona wróbliczka. — Och, jak zacznie ujadać, zaraz wszystkie piórka stają mi jak jeżowi kolce... — zaćwierkała mała elegantka, której oczki świeciły się, jak czarne paciorki.

Patrzcie... znów pada śnieg — nasrożyła się stara pani wróblowa i tak już tak nastroszona, że wyglądała, jak puchowa kuleczka.

Młodsze wróbelki, szczególniej te, które nosiły eleganckie, czarne krawaty, wolały jednak urządzać wyścigi, niż siedzieć i plotkować. Kręciły się więc z krzaków na płoty, z płotów na ganki, na balkony, na framugi okien. Nagle jeden z nich podniósł wrzask: „Tirli... tirli... ćwirli... ćwirli... kot!... kot!.. ćwir... ćwir... ćwir.. gdzie?... a gdzie?... „Tu... tu!... na balkonie!"

Ach... na wróblą gromadę padł strach. Siedzi Mruszek, siedzi. Tak wysoko jak one. Oczy ma zielone. A zęby!... bielą się jak śnieg. „Zmykajmy!... Zmykajmy! Będzie źle, jad dobierze się do naszych piór!..."

Ale pan Mruczek był wielki leniuszek. Tylko wyglądał tag groźnie. Gdyby wróblątka same wpadły do gąbki, z przyjemnością by je schrupał. Ale gonić je! Gdy śnieg tak pruszy! Gdy świat jest tak biały, że aż oczy bolą gdy patrzeć! Nie. Pan Mruczek wcale nie miał zamiaru gonić wróbelków. Wyszedł sobie tylko na chwilkę, by zażyć świeżego powietrza. Potem będzie spał przy ciepłym piecu. Bo głodny wcale nie jest. Jureczek ciągle mu daje jeść. To mleko, to kaszkę, to mięso czerwone.

Mały Jureczek nie tylko o kotku pamiętał. Nazbierał okruszyn z chleba, z kartofli, z ryżu i rozsypał je na balkonie i na parapetach okien dla głodnych wróbelków.

A leniuszka Mruczka zabrał z balkonu, by nie straszył jego stołowników.

Zobaczyły to wróble i stare i młode

Ćwir... ćwir... ćwir... — na balkonie są okruszki! Na balkonie są okruszki!

Ale tam był kot!

To nic! To nic! I hyc, hyc, hyc... hyc.. poskoczyły śmiałe zuchy, by z balkonu jeść okruchy.

ZOFJA LEPECKA.

PRZYGODA IGNASIA

Ignaś był jedynakiem.

Miał dobrą mamusię, kochającego tatusia, ale często zdarzało się, że przyczyniał rodzicom wiele kłopotu swem zachowaniem się.

Od rana do wieczora wszędzie go było pełno: w kuchni biegał po wszystkich kątach, tłukł talerze, wywracał się, a kiedyś nawet podczas prania wpadł do balji z wodą i o mało się nie utopił.

Po tem zajściu zabroniono mu przychodzić do kuchni. Gniewał się wtedy bardzo na mamusię, przez cały dzień płakał o byle co, tupał nóżkami, skarżył się przed wszystkimi na mamę, ale nic nie wskórał, bo do kuchni w dalszym ciągu niewolno mu było przychodzić.

Pewnego dnia siedzi sobie Ignaś w pokoju i przygląda się różnym przedmiotom. Ach! on wszystko zna doskonale i nic go nie interesuje, jest mu smutno i nudzą go porozrzucane wokoło zabawki.

Wtem wzrok jego padł na wiszący na ścianie zegar.

— Jak śmiesznie kiwa się wahadło! raz widać je z lewej strony lampy, to znowu z prawej — jakby się bawiło ze mną w chowanego, a kuku! — śmiał się zadowolony Ignaś.

Zabawa trwała dość długo, ale i to zajęcie wkońcu znudziło mu się zupełnie.

— Zatrzymaj się-no! — już nie chcę, stań zaraz, rozumiesz! — rozkazywał zegarowi, który nie miał zamiaru stanąć i kiwał się w dalszym ciągu.

— Czekaj, poczekaj — staniesz, czy nie? — kłócił się Ignaś z zegarem.

Przysunął krzesło, wszedł na nie, wyciągnął rękę, ale nie mógł dostać do zegara. Ustawił wówczas niski stolik, na

nim ławeczkę, następnie wgramolił się na to wszystko i z wielką radością otworzył szafkę i chwycił za poruszające się wahadło.

— Widzisz, nie będziesz się kiwał, bo ci nie pozwolę — cieszył się.

Wtem... kroki... idzie ktoś... Chciał prędko zejść, a tymczasem ławeczka zaczęła się zsuwać ze stolika. Spadając, chwycił ręką za zegar, i kiedy matka weszła do pokoju, zastała syna i zegar leżących zgodnie na podłodze.

Podczas przenoszenia na łóżko, chłopczyk jęczał cichutko, nie otwierając oczu.

Kiedy się ocucił, w pokoju paliła się lampa. W głębi widział oświetloną żółtym blaskiem twarz matki, płaczącej cicho.

Choremu zrobiło się przykro, czył, że przez niego mamusia płacze i nie śmiał odezwać się do niej. Małe serduszko chłopczyka przepełniał żal i łzy same cisnęły się do oczu. Myślał, jakby tu zaradzić złemu, znowu był nieposłuszny, nie bawił z zabawkami, lecz szukał czegoś nowego, gniewał się na mamusię, a teraz mamusia o niego płacze. Wstyd mu było, żal matki budził nowe myśli, — może to kara za nieposłuszeństwo, za skarżenie na mamusię, która jest przecież taka dobra...

— Mamusiu!

— Co syneczku? Boli cię główka?

— Boli, ale to nic, dlatego spadłem, że byłem niegrzeczny, prawda, matuchno?— i łezki toczyły się po buzi, jak potoki dżdżu — matuchno, nie martw się, już będę naprawdę grzeczny, tylko nie płacz złota, kochana — dobrze?

Chłopczyk chorował długo. Po wyzdrowieniu był znowu wesoły, biegał i śpiewał, ale zawsze słuchał mamusi, nie gniewał się na nic i na nikogo i rodzice byli dumni ze swego jedynaka.

Ewa Etavi.

SIKORECZKA

Biedna, mała sikoreczka,
Smętna płynie jej piosneczka,
Całą zimę wszak bieduje
I o wiośnie myśli snuje.
I nie tak, jak inne ptaszki,
Życie dla nich istne fraszki —
W ciepłe kraje odlatują
Wcale zimy nie widują.
Powracają do nas wiosną
I śpiewają pieśń radosną.
Więc gdy piękną mamy jesień,
Gdy na dworze jest już wrzesień
Inne ptaszki odleciały,
Sikoreczki pozostały.
I w ogrodach jest przyjemnie —
Chociaż jesień cicho drzemie. —
Wtedy słychać sikoreczkę,
Ci-ci miłą jej piosneczkę.
Gdy w zimową, smutną porę —
Mróz brylantem lśni wieczorem,
Śnieg swym puchem kryje drzewa,
A sikorka ci-ci... śpiewa.

Helena Dawidowa.

REGINA PUDANÓWNA.

PAMIĘTNIK LISA

Dokończenie

Byłem tak nieprzytomny, że nic nie pamiętałem co ze mną robiono, ocknąłem się tylko w swojej skrzyni i ujrzałem nad sobą twarze swoich opiekunów.

Kara za moją ucieczkę nie minęła. Otóż przestano mię wynosić, póki nie przyjechał Tatuś. Jakie ja w tym czasie przebywałem męki, to trudno opisać. Zdawało mi się czasami, że biegnę, że jestem wśród swoich, ale ocknąwszy się i zobaczywszy te same ściany więzienne, porywała mię szalona złość, gryzłem, szarpałem siatkę i wyłem, jak mogłem najgłośniej. W końcu zwątpiłem już w możność ujrzenia lasu i naszej nory, zgodziłem się z tem, że ciągle będę musiał siedzieć tu w tej skrzyni i tu będę musiał zginąć. Lecz los nie był tak zły, jak przypuszczałem.

Pewnego popołudnia, gdy siedziałem smutny w mej skrzyni, przyszła odwiedzić mię Renia z jakimś jeszcze człowiekiem bez wąsów. Opiekunka moja nazywała go Mamusią. Gdy posłyszałem ten wyraz, przypomniała mi się moja mama i przeszło mi przez myśl, że ta Ludzka Mama może też będzie taka dobra, jak nasza. Widocznie myśl moja była słuszna, gdyż Ludzka Mama zaczęła mówić do Reni:



— Biedne lisiątko takie smutne, tak mu tu duszno, trzeba go podarować do zoologicznego ogrodu, lub wypuścić na wolność.

Ostatnie słowa podziałały na mnie piorunująco; serce zabiło mi mocniej, zacząłem przysłuchiwać się pilniej.

Teraz przemówiła Renia: „Mamusiu,

proszę go nie oddawać, on taki ładny, on taki mądry". Na to Mama: „Słuchaj, dziecinko, gdybyś ty była na miejscu tego liska, czy byłoby ci dobrze? Popatrz, jak on tęski do lasu, do domu, bo przecież i on miał też swoją mamusię, która pewnie rozpacza po nim. Czy dobrze by ci było? Nie! Prawda? A więc wypuśćmy go lepiej!

„Prawda, Mateczko, nie pomyślałam o tem, ale teraz się zgadzam i poproszę Tatusia, by uczynił to jutro.

Potem zwróciła się do mnie: „O biedny, mały liseczku. Więc od jutra zacznie samodzielne życie.

Z temi słowy odeszła.

Ja byłem wprost nieprzytomny z radości. Ciągle myślałem o swojej rodzinie: jak oni mię przyjmą, jak się ucieszą, a jednocześnie bałem się, żeby to nie było złudzeniem.

Nazajutrz popołudniu przyszli do mnie Tatuś i Renia; wyjęli mię ze skrzynki, owinęli dywanikiem i ponieśli. Ja już wiedziałem, co to znaczy i z niecierpliwością oczekiwałem chwili wolności. Nareszcie ukazał się las; odrazu poczułem się wolnym, chociaż byłem w dywaniku i Renia trzymała mię mocno. Uszedłszy spory kawał, zatrzymaliśmy się. Tatuś położył mię na ziemię, i rozwinął dywanik. Nie mogłem uwierzyć, że już jestem wolny, lecz wkrótce opamiętałem się, wstałem, wyprostowałem się i popatrzyłem na swoich opiekunów. Poczułem się bardzo lekkim; odeszłem od nich kilka kroków, oglądając się i puściłem się w drogę.

Nocowałem w przydrożnych jarach lub pod pniami drzew. Czasem cały dzień nic nie jadłem, aż wreszcie trafiłem do gęstego lasu i tu postanowiłem zamieszkać. Wyryłem sobie norę, we środku wysłałem ją zajęczemi skórami i ptasiemi piórkami. Ale samem ubyło mi smutno żyć. Dlatego też postanowiłem ożenić się. Wkrótce zapoznałem się z panną liską. Była ona bardzo rozumna, zgrabna i chytra, nazywała się Bystre-Oczko. Bardzo mi się podobała, ja jej również, więc też niedługo wyprawiliśmy wesele. Ile u nas było gości, to tylko jeden człowiek mógłby policzyć; były wszystkie lisy z całego lasu. Uczta była przepyszna; zajęcy pełno i świeżych i z zapaszkami



w skórkach i bez skórek, ptaków różnych mnóstwo. Koło naszej nory zamietliśmy swemi ogonami; na krzakach była moc świętojańskich robaczków. Ptaki siedząc na drzewach, przygrywały, a my wznieśliśmy toast na cześć wolności.

Po uczcie wszyscy poprosili mię, żebym opowiedział swoje przeżycia u ludzi. Zadość uczyniłem temu, opowiadając wszelkie szczegóły, a najwięcej wychwalałem Mamę Ludzką, bo ona wróciła mi wolność. Potem ptaki dla nas zagrały, a myśmy zaśpiewali: „Wiwat, niech żyje Mama Ludzka" i teraz dopiero zaczęła się zabawa. Goście moi, dopiero nad ranem rozeszli się do swych nor.

I od tego czasu życie moje popłynęło normalnie. Dziś już nie chodzę na polowanie, bo jestem stary. Mam wnuków. A najmilszą moją rozrywką jest opowiadanie o mych przeżyciach u ludzi.



NA OCEANIE

Burza szalała potężna, okrutna i zachłanna, tem groźniejsza, że zjawiła się nagle wśród błękitnego nieba i spokojnych, prawie nieruchomych odmętów morskich.

Rybacy, których oszukał lazur pogodnego nieba, nie przeczuwając możliwości burzy, wczesnym rankiem udali się na połów sardynek, oddalając się dość znacznie od brzegu.

Tymczasem nadbiegły czarne, gęste chmury i ciężko legły nad rozszalałem morzem. Wicher srożył się, hulał, zdawał się sięgać dna morskiego, rozbryzgiwał wody i podnosił olbrzymie, huczące przeciągle fale.

Rybacy, rezygnując z połowu, dokładali wszystkich starań, by jaknajprędzej przybić do brzegu i unieść życie.

Mieszkańcy nadbrzeżnej wioski tłum-

nie wylegli na spotkanie powracających. Niespokojnemi oczami śledzili zbliżające się łodzie, które podrzucane, jak łupiny orzecha, z trudem podążały do lądu.

Nareszcie wszystkie znalazły się w porcie.

Miano już rozejść się do domów, gdy uwagę obecnych zwrócił czarny punkt na krańcach horyzontu, który zdawał się rosnąć i zbliżać.

Kilku rybaków, uzbrojonych w lunety, z ciekawością śledziło ów zbliżający się punkt.

Wkrótce nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że zagnany burzą, do brzegu zbliżał się duży pasażerski statek. Jeszcze trochę i rozróżnić już było można włoski sztandar, powiewający na najwyższym maszcie.

Załoga statku spostrzegła również stojących na wybrzeżu, gdyż dały się słyszeć rozpaczliwe sygnały, proszące o pomoc.

Statek musiał być uszkodzony, gdyż posuwał się bardzo wolno, stawiał zbyt słaby opór rozpętanym falom i zagłębiał się coraz więcej.

Położenie było bardzo trudne. Fale piętrzyły się i z taką siłą rozbijały o brzeg morski, że mowy być nie mogło o wysłaniu łodzi ratunkowych.

Z gromadki rybaków wysunął się najstarszy wiekiem i najbardziej szanowany i rzekł:

— Pozostaje tylko jedyna możność ocalenia tych nieszczęśliwych: należałoby przyciągnąć statek do brzegu zapomocą liny okrętowej i przytwierdzić go do lądu. Czy jednak znajdzie się wśród obecnych śmiałek, mający odwagę podjęcia się tego czynu?

Po chwili ciszy, która wydała się wiekiem, jeden z rybaków ofiarował się popłynąć do statku. Był to człowiek atletycznej budowy, o potężnej piersi i muskularnych ramionach. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że jeżeli on nie podoła zadaniu, przechodzi ono siły ludzkie.

Oczy wszystkich utkwione były w człowieka, który za chwilę miał narazić życie własne, by ratować bliźnich od zguby.

Tymczasem rybak zdjął z siebie część ubrania, opasał się grubym sznurem, który miał go łączyć z lądem i odważnie rzucił się w spienione nurty morskie.

Z początku płynął równo, walcząc ze wszystkich sił, gdy jednak znalazł się w połowie drogi, potężna fala porwała go i uniosła z powierzchni wód.

Rybacy pociągnęli za snur, do którego był przywiązany i nieprzytomnego wydobyli na brzeg.

Podczas gdy zajęto się nim i stosowano odpowiednie środki, by przywrócić go do przytomności, drugi ochotnik ofierował swoje usługi.

Był to 14-letni chłopiec, ubrany tylko w krótkie spodenki i pas ratunkowy.

W tej chwili rozległ się przeraźliwy głos kobiecy:

— Marjuszu, słyszysz, ja nie pozwalam, ja nie chcę, byś narażał życie! — I młoda, czarno ubrana kobieta rzuciła się pomiędzy odważnego chłopca i starego rybaka.

— Ojcze Alanie — mówiła wśród łez — nie możecie przyjąć ofiary tego szalonego chłopca; tam, gdzie dorosły i silny mężczyzna nie mógł podołać zadaniu, co uczynić może mój synek? Toż to dziecko jeszcze! Ja nie chcę, by szedł na niechybną śmierć, ja tylko jego mam na świecie!

Starzec kolejno patrzył na matkę i na dziecko. Cicha walka toczyła się w jego sercu.

— Anno — rzekł z powagą — los wymaga od was wielkiej ofiary. Syn wasz jest dzielnym i szlachetnym chłopcem, więc czy wobec pewnej śmierci tamtych dziesiątków ludzi mam prawo odrzucić wielki poryw jego serca?

Nieszczęśliwa matka, zalana łzami, bez słowa odsunęła się na stronę. Rybak zaś

więcej wzruszony, niż chciał to okazać, dorzucił jeszcze:

— Wszyscy z głęboką czcią schylamy głowy przed waszym bólem, Anno! Marjusz jest wolny, niech więc postąpi według głosu swego serca.

Nie czekając dłużej, chłopiec skoczył w niezgłębioną przepaść wodną.

Unoszony, jak piórko, to ukazywał się na grzbiecie fali, to nikł z oczów patrzących na niego ludzi, to znów wypływał bliżej statku.

Obecni z zapartym oddechem śledzili każde jego poruszenie. Trzy razy był już tak blisko statku, że marynarze usiłowali wciągnąć go na pokład, trzy razy został odrzucony. Wreszcie silniejsza i wyższa fala uniosła go i z wielką siłą podrzuciła tuż obok pokładu. Dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu. Jeden z marynarzy pochwycił sznur, którym chłopiec był okręcony i przymocował do liny okrętowej.

Na wybrzeżu i na pokładzie uratowanego od zagłady statku rozległy się szalone okrzyki radości.

Rybacy wspólnemi siłami ciągnęli teraz okręt do brzegu. Dzięki ich zbiorowemu wysiłkowi, został on wkrótce przywiązany do nadbrzeżnej skały.

Burza nie uspokajała się ani na chwilę.

Z wielkim trudem udało się przewieźć na ląd pasażerów i załogę. Dopiero, gdy wszyscy opuścili statek, kapitan podążył za nimi.

Rzucił ostatnie pożegnanie na swój okręt, który smagany przez wściekłe fale, zagłębiał się coraz bardziej.

Mały Marjusz przypadł do matki...

Zmęczony, lecz uśmiechnięty, tulił swą kruczą głową do jej ramienia i czułym, dziecięcym głosem mówił:

— Przebacz, mateczko, nie gniewaj się na mnie...

Biedna kobieta, zbyt poruszona przeżytemi wrażeniami, by móc wymówić choć słowo, obejmowała syna, okrywała go gorącemi pocałunkami, a ręce jej dotykały jego głowy i ramion, jakby chcąc się upewnić, że nic mu się nie stało złego.

Gdy po chwili podniosła głowę, zobaczyła o kilka kroków od siebie, wśród niemilknących jeszcze ryków rozgniewanego morza, kapitana i całą jego załogę, stojących na wybrzeżu i oddających jej honory wojskowe.

A. P. G.

